

Bogusław Magrel

To już trzecia nasza wizyta w Albanii. Tym bardziej interesująca, bo możemy obserwować zmiany, jakie zachodzą w tym kraju. Od wielkich inwestycji drogowych, o charakterze centralnym, po małe sukcesy, typu nowa łazienka w domu naszego przyjaciela Hagiego. Albania zmienia się i my chcemy również w tym uczestniczyć, tworząc część turystycznej infrastruktury, która w przyszłości będzie pomocna ludziom odwiedzającym ten piękny zakątek Europy. Celem naszego wyjazdu jest dokończenie robót, które musieliśmy przerwać z powodu złej pogody jesienią 2010 roku.

Tą samą sprawdzoną trasą docieramy do Perszkopi, tu robimy małe zakupy w miejscowych sklepikach i ruszamy do Radomire. Jedziemy własnym autem, ponieważ, od naszej pierwszej wizyty, stan drogi na tyle się poprawił, że możemy podjąć to ryzyko. Jedynie na końcu trasy, praktycznie w samej wiosce, wszyscy muszą wysiąść i przejść 500 m piechotą, żeby auto mogło przetoczyć się przez ogromne dziury.

W wiosce jesteśmy już znani. Miejscowi witają nas jak starych znajomych. Ponownie zatrzymujemy się u Hagiego, który nie tylko zdołał dobudować do swojego domu wspomnianą już łazienkę, ale też jeden z pokoi przystosował do wynajmu dla turystów. Nie trzeba już spać na baranich skórkach, można spędzić noc w jednym z czterech, przestronnych, łóżek ustawionych obok siebie. Takie zmiany nas zaskakują, ale przede wszystkim cieszą!

Jeszcze tego dnia udajemy się na rekonesans. Okazuje się, że tablice ustawione na początku szlaku zostały poważnie uszkodzone. Jest to dla nas przykre, ale nie przejmując się bardzo przystępujemy do wymiany tablic na nowe oraz dokładamy ładny drewniany daszek do naszego drogowskazu. Jednak z niepokojem myślimy o kolejnych znakach pozostawionych przez nas na hali. Wieczór spędzamy w knajpie Hagiego, kosztując miejscowej kawy i albańskiego piwa. Załatwiamy też konie niezbędne do transportu sprzętu oraz przewodnika, który będzie się nimi opiekował. Ma na imię Dżeszar i pochodzi z Radomire. Dobrze mówi po angielsku, bo ostatnie 10 lat pracował na wyspach.

Kolejnego dnia powtarza się znany nam rytuał załadunku sprzętu na konie. Łom, młot, piła, drewniane pale, farba – to wszystko musi się jakoś zmieścić. Dżeszar zwinnie troczy wszystkie elementy, żeby nic nie spadło i żeby nie zrobiło krzywdy zwierzętom.

Ruszamy ochoczo w drogę. Trzeba przyznać, że jest trochę satysfakcji, kiedy idzie się szlakiem własnoręcznie wyznaczonym. Z uwagą oglądamy, jak znaki wyglądają po zimie. Niektóre poprawiamy, ponieważ farba nie wszędzie dobrze się zachowała. Przed halą już tylko mamy znaki czerwone, więc dokonujemy uzupełnień o kolor biały. Jesteśmy zadowoleni z pierwszego etapu, który tym samym jest ukończony! Na hali spotyka nas przykra niespodzianka. Okazuje się, że obie tablice postawione tam przez nas zostały spalone przez miejscowych pasterzy. Wygrała chęć ogrzania się przy ognisku. Rozmawiamy o tym z Dżeszarem. On tłumaczy nam, że za miesiąc na tej hali odbędzie się zjazd wszystkich klanów pochodzących z okolicy Radomir i że ta sprawa zostanie poruszona oficjalnie. Ale czy tak się stanie?

Stawiamy nowe drogowskazy na początku i na końcu hali. Na jej zupełnie płaskiej części, gdzie nie ma możliwości jakiegokolwiek zaznaczenia szlaku, wbijamy dodatkowe dwa pale. Jednak w trosce o zachowanie pierwotnego krajobrazu nie dokładamy ich więcej, choć niektórzy z nas mają wątpliwości, czy turyści nie zgubią się tu przy złej pogodzie.

Ten dzień kończymy biwakiem, który zakładamy dokładnie w tym samym miejscu co rok temu. Rankiem zwijamy obóz i odsyłamy sprzęt biwakowy do Radomire. Dżeszar pomaga nam jeszcze podcinać drogowskazy. Zaczynamy malować wąski przesmyk skalny prowadzący do wyższej hali. Na jej początku ustawiamy kolejny solidny drogowskaz, który razem ze Staszkiem wynieśliśmy tam jeszcze poprzedniego wieczoru. Dno wyższej hali zalane jest wodą, topniejące śniegi utworzyły tu okresowe jezioro. Przed jego początkiem odbijamy w prawo. Teraz już wiemy, że idąc w lewo, dotarlibyśmy na grzbiet będący granicą albańsko-macedońską. A jest dla nas ważne, by trasa przez nas wyznaczona w całości biegła po terytorium albańskim, Tutaj jeszcze nie ma Unii ani traktatu z Schengen i przekraczanie granicy w górach nie jest legalne.

Teraz stromo wznosimy się w górę, po piargach i trawiastych zachodach. Staszek, Piotrek i Rysiek tworzą ekipę, która maluje na czerwono, a Ela, Aldona i Basia odpowiadają za kolor biały. Jest jeszcze Emilka, która pomaga chłopakom, a dodatkowo zapisuje współrzędne na GPS-ie. Ja targam pod górę wielki drogowskaz, który ostatecznie ustawiamy na wysokości 2300 m, na szczycie trawiastej moreny. Chcieliśmy, żeby był dobrze widoczny z obu stron szlaku. Mamy trochę kłopotów z jego osadzeniem, bo tu, pod płytką trawą, jest pełno skał. Ostatecznie, dzięki kilofowi, który targa ze sobą Staszek, i młotowi do kolejowych podkładów noszonemu przez Ryśka, udaje się nam solidnie ustawić znak. Ile będzie tu stał? Kto pierwszy wyryje na nim swoje inicjały albo napisze „love” i wytnie serce?

Mamy też mały dylemat. Otóż nie możemy się zdecydować, który z trzech wierzchołków Korabu jest tym najwyższym? Kiedy schodziliśmy w zeszłym roku ze szczytu padał deszcz i mgły zasłoniły nam cały widok, teraz brakuje tych informacji. Po krótkiej naradzie z Ryśkiem, uczestnikiem zeszłorocznej wyprawy, wybieramy pierwszy z lewej wierzchołek. Pokonujemy ściany wąskiego wąwozu i wydostajemy się na rozległe skalno-trawiaste plateau, które doprowadza nas pod samą ścianę Korabu. Tu odnajdujemy nasze znaki sprzed roku, które malowaliśmy w zejściu, zanim rozpadał się deszcz. Mimo że na tej wysokości leży jeszcze sporo śniegu, widać je! Radość w ekipie jest wielka. Teraz już tylko kilka ruchów przez eleganckie podszczytowe skały i wychodzimy na najwyższą górę Albanii. Jesteśmy zmęczeni, bo przecież cały czas nie tylko maszerowaliśmy, ale też malowaliśmy znaki. Ze szczytu roztacza się piękna panorama. Jednak nadciągające od strony Macedonii chmury wróżą nam burzę. Popędzam ludzi do zejścia, tym bardziej, że Basia bardzo boi się piorunów. Wybieramy wariant prowadzący bezpośrednio do doliny okalającej Korabi od zachodniej strony. Spodziewamy się, że dzięki temu szybciej dotrzemy do wioski. Na początek na łąkach śniegu wykonujemy kilka dupozjazdów, szybko tracąc wysokość. Dalej już w padającym gradzie i deszczu wesoło przemierzamy wielką halę pełną owiec. Pasterze zaczepiają nas, pytają o nasze prace i powątpiewają w ich sens. Pokazując na owce, mówią, że to są pieniądze, a turystyka? Na niej wzbogacić się nie można... .

Przed zachodem słońca docieramy do wioski, jesteśmy wszyscy zadowoleni z prac, które wykonaliśmy. Oficjalnie ogłaszam zakończenie znakarskiej działalności, którą oblewamy miejscowym „Tirana Beer”.

Następnego dnia suszymy swoje rzeczy, bo, schodząc ze szczytu, solidnie zmokliśmy. Po sutym śniadaniu udajemy się w dalszą drogę- przecież mamy jeszcze kilka dni i trzeba je wykorzystać! Wybór pada na Góry Przekłete, czyli Alpy Albańskie. Jednak żeby do nich się zbliżyć, trzeba przejechać całą Albanie, aż do Szkodry. To zajmuje nam cały dzień. Oczywiście odległość nie jest duża, ale te drogi... .

Ze Szkodry wynajętym autem ruszamy do Teth. Właściwie można powiedzieć, że jest to swoistego rodzaju safari. Po drodze spotykamy niemieckie grupy, które jeepami 4x4 pokonują tę samą trasę co nasz mercedes. Dla nich to extrema spod znaku off road, dla naszego kierowcy- to codzienna rzeczywistość. Teren nas zaskakuje, strzeliste wapienne formacje przypominają nam Dolomity, do tego łąki kwiatów i cudowna pogoda sprawiają, że na dobre oddajemy się atmosferze pikniku. Z drogi dostrzegamy świeże znaki szlaku, który podobno również wymalowali Polacy. Cieszy nas fakt, że w naszym trudzie na południu Albanii nie jesteśmy osamotnieni. Po południu docieramy do Teth, zamieszkujemy w ogrodzie jednego z gospodarzy. Wieczorem pod niebem pełnym gwiazd rozpalamy ognisko i wsłuchujemy się w ciszę, która mieszka tu od tysięcy lat. Ten uroczy moment zakłóca nam zaproszenie od gospodarza, który, jak to bywa w miejscowym zwyczaju, chce nas poczęstować rakiją. Odmówić nie wypada! Zatem udajemy się na kolację i małe co nie co. Impreza kończy się wspólnymi tańcami. Jednak, mimo, że jesteśmy w katolickiej części kraju, tańczą tylko mężczyźni. Po naszej stronie prym wiedzie Aldona, która naszemu gospodarzowi wyraźnie wpadła w oko. Kolejnego dnia zwiedzamy Teth. Uwagę przykuwa miejscowy kościół i baszta obronna, w której ukrywali się członkowie rodzin biorących udział w klanowych wendettach. Popołudniem wracamy do Szkodry. Tu z przyjemnością odpoczywamy w hotelu, wszyscy czujemy kręgosłupy po kolejnym dniu jazdy albańskimi bezdrożami.

Trzeba wracać do domu. Studiując mapę, dochodzimy do wniosku, że chyba najlepiej będzie przebiegać się w kierunku Chorwacji. Dzięki temu mamy okazję wykąpać się w ciepłym Adriatyku i zobaczyć czarnogórski Bar. Ze wzgórz otaczających miasto podziwiamy zachód słońca. Czy może być bardziej romantycznie? Kolejny nocleg wypada w Dubrowniku, eleganckim i czarującym mieście.

Trzeba przyznać, że ogromne statki wycieczkowe, zacumowane w porcie robią wrażenie! Tylko gdyby nie te korki...
Dzień kończymy kąpielą w uroczej zatoczce, nad brzegiem której rozkładamy stolik i krzeselka. Pełny relaks, choć lato dopiero przed nami. W drodze powrotnej spotyka nas typowo samochodowa przygoda, czyli awaria sprzęgła. Tu klasę pokazał Staszek, który wykorzystał swoją fachową dentystyczną wiedzę. Otóż szybko stwierdził, że albańska moneta 5 lek doskonale pasuje w miejsce uszkodzonej części w aucie. Przy pomocy naszego młota i kleszczy pożyczonych od miejscowych gospodarzy rozbił ją na pół, ponacinał boki, związał drutem i... i pojechaliśmy szczęśliwie do Polski! Dzięki, Stachu, za tę twardą walutę!

Nasza wyprawa "Albania Libera IV" dobiegła końca. Jednak nie jest to koniec naszej działalności znakarskiej w masywie Korabu. Naszym najbliższym celem jest wyznakowanie szlaku od strony zachodniej tak, żeby można było wchodzić i schodzić ze szczytu dwoma różnymi drogami. To z pewnością uczyni wycieczkę bardziej atrakcyjną.

Na koniec chciałem serdecznie podziękować wszystkim uczestnikom wyprawy „Albania Libera IV” za ciężką pracę, optymizm i humor, którego podczas całej wyprawy nikomu nie zabrakło.

W wyprawie udział wzięli:

Elżbieta Górską – Elk,

Barbara Buczkowska – Grudziądz,

Emilia Haraszczuk - Warszawa,

Aldona Drabik – Warszawa,

Stanisław Klajman – Gdynia,

Ryszard Zawisz – Rydułtowy,

Piotr Świątkowski – Berlin,

Bogusław Magrel – Katowice.